

Jerzy Madzelan

OPOWIEŚCI BROKOWSKIE

WENECJANIN

Zbudził się w nie najlepszej kondycji. Stojąca w kącie izby gipsowa miniatura tutejszego kościoła przypomniła mu, gdzie się znajduje. Zarówno w Płocku gdzie mieszkał na stałe, jak i w innych miejscach, gdzie obecnie prowadził budowy, widok z okna był na pierwszy rzut oka ten sam – rzeka, a za nią nadbrzeżne wioski, łąki, lasy. W zasadzie to do niczego tego modelu nie potrzebował. Każdy szczegół wznoszonych budowli miał zapisany w pamięci, ale modele niezbędne były fundatorom, dla urealnienia celu, na jaki przeznaczali swoje pieniądze. Znacznie okazalsze makiety znajdowały się w biskupich siedzibach w Płocku i Pułtusk. Identyczny z tym tutaj, stał na pobliskiej plebanii, sąsiadującej ze starym drewnianym kościołem, którego dzwon właśnie wyrwał Jana ze snu. Jana, bo sam już dawno przestał o sobie myśleć jako o Giovannim. Teraz był powszechnie poważanym architektem i muratorem Janem Baptystą Wenecjaninem.

Jeszcze, gdy pracował w Krakowie, to pośród licznej, tamtejszej włoskiej kolonii znalazło się kilku Janów Baptystów. Dla łatwiejszej identyfikacji miejscowi nadali im przydomki. Jemu przypadł w udziale „Wenecjanin”. W zasadzie to nie wiedział dlaczego, ale nie protestował. Był synem ubogiego, wędrownego budowniczego. Rodzice za młodu stale podróżowali w poszukiwaniu zarobku, a matka urodziła go ponoć w jakiejś lombardzkiej wiosce. Bycie kojarzonym z przebogatą, budzącą podziw Serenissimą, a nie z jakąś zapadłą wioszczyną, mile łechtało jego próżność i świetnie obrazowało drogę, jaką przebył, wspinając się po szczeblach społecznej drabiny.

Pamiętał, że gdy zima miała się ku końcowi i przebycie alpejskich przełęczy nie było już misją samobójczą, w wielu włoskich wsiach i miasteczkach pozostawały tylko kobiety, dzieci i starcy. Trakty zapełniały się śpieszącymi na północ rzemieślnikami. Większość z nich przebywała setki kilometrów na piechotę, bosą stopą, niosąc swój lichy dobytek w węzełku na ramieniu. By nie płacić za zapchlony kąt do spania w gospodach, spędzali noce na poboczach, a czasem w naprędce skleconych szałasach. Na jesieni odbywał się wielki powrót na południe. Ówczesne trakty nigdy nie były bezpieczne, ale powracając, należało mieć się wyjątkowo na baczności. Zbójcy czyhali na nieostrożnych, samotnych podróżnych wracających z pieniędzmi z północy. Niestety i wędrowanie w większej grupie nie dawało gwarancji bezpieczeństwa. Nie miał nawet lat dwudziestu, gdy został dostrzeżony przez pośrednika poszukującego zdolnych kamieniarzy i murarzy. Ci łowcy talentów działali na zlecenie mistrzów wykonujących prace w dalekich krajach. Dziesiątki jego znajomych pracowało w Niemczech, Czechach, a nawet Anglii, ale ta propozycja była zaskoczeniem – pośrednik zaproponował wyjazd do Polski. Słowo Polska nie było mu całkiem obce. Od dziesiątek lat podróżowali tam włoscy fachowcy, ale w kręgu swoich znajomych Giovanni nie miał nikogo, kto tam pracował. Rodzice szczerze odradzali tę wyprawę, obawiając się, że zginie w tym porośniętym nieprzebytymi puszciami kraju, gdzie nie znano wina i oliwy, a mieszkano w drewnianych szopach.

Rodziców i jego samego przekonały dopiero pogłoski, że pracujący w Polsce mężowie i synowie przysyłali swym rodzinom znacznie większą ilość brzęczących, lśniących monet, niż to miało miejsce w przypadku pracujących w Niemczech, czy we Francji. Giovanni oceniał, że kilka lat pracy w tym dalekim kraju, wystarczy na kupno w Italii domu, zorganizowanie własnego warsztatu i założenie rodziny.

Podobni Giovanniemu kontraktowi pracownicy musieli być dostarczeni na miejsce robót jak najrychlej, toteż nie potrzebowali wzorem większości zdzierać skóry na stopach i spać w przypadkowych miejscach. Niemniej podróż zajęła dwa tygodnie. Ta długa trasa wiodła od jeziora Como, wzdłuż rzeki Mera, później przez dolinę Val Bregaglia, następnie rzeką Inn do Insbrucka, a stamtąd poprzez Linz, Brno, Ołomuniec i Cieszyn do Krakowa.

Krakowem był mile zaskoczony. Wspaniałością publicznych i prywatnych budowli, obfitością wszelkich towarów, sposobem życia, ogładą i uprzejmością mieszkańców – miasto to niczym nie różniło się od tych włoskich czy niemieckich. Przygotowując się wcześniej do wyjazdu do pracy gdzieś na północy, opanował wiele niemieckich słów i zwrotów. Z wielką częścią krakowskich mieszczan mógł się więc dość swobodnie porozumieć, ale i tego nie potrzebował, gdyż od Włochów w Krakowie się roiło. Byli nie tylko budowlańcami i artystami. Prowadzili własne szynki, apteki, warsztaty jubilerskie, a nawet posiadali liczne kamienice w samym rynku. Zresztą królową tego rozległego kraju była przecież Bona Sforza d`Aragona, pochodząca z miasta Bari.

Nieco gorzej przedstawiała się sytuacja z oliwą i winem. Obu tych produktów nie brakowało, ale oliwa była kosztowna, wino zaś, nie dosyć, że drogie to nie przypadło mu do gustu. Pochodzący z ubogiej rodziny Giovanni, nigdy nie był koneserem win, ale we wszechobecnych tu winach węgierskich nie zasmakował, włoskim zaś winem mianowano po szynkach jakiś cienkusz niewiadomego pochodzenia. Nie znaczy to oczywiście, że nieźle wina były niedostępne. Raz nawet takim go poczęstowano, lecz pobladł, gdy poznał jego cenę. Postanowił wzorem miejscowych pijać piwo. Jego pierwsze piwne przygody były niezbyt udane, ale szybko w tym napoju zagustował i wkrótce można go było nazwać znawcą złotego trunku.

Na początek, jako czeladnik otrzymał sześć florenów miesięcznej pensji. Źle opłacany miejscowy nauczyciel, musiał na tę kwotę pracować przez rok. Dobrze opłacany miejski urzędnik gdzieś w Tarnowie, czy Lublinie cieszył się, gdy na rok otrzymał 30 florenów. Już pierwsza wypłata sprawiła, że Giovanni, zamiast zasnąć, planował w myślach, jaki dom wybuduje i z jaką włoską małżonką w nim zamieszka.

W tym momencie Jan poczuł, że z półsennych przywołań chwil przeżytych w Krakowie, zaczyna wracać do terażniejszości. To działać zaczęły

zioła, które otrzymał od przyjaciela, płockiego aptekarza Pawła Alanssio. Paweł budził powszechną irytację ciągłym przypominaniem, iż był synem Jana Alanssio, nadwornego farmaceuty Bony, niemniej był Paweł świetnym znawcą ziół, a jako na przyjacielu zawsze można było na nim polegać. Wiek i lata wyężonej pracy zrobiły swoje. Jan Baptysta nie potrafił już, jak to niegdyś miał w zwyczaju, zerwać się z łoża i natychmiast przystąpić do pracy. Zioła plockiego farmaceuty skutecznie dodawały mu energii o poranku. Niewykluczone, że tym razem do kiepskiej formy Jana przyczyniło się wino, którego małe co nieco spożył wraz z Ambrosio poprzedniego wieczora. Co prawda stać już go było na popijanie dobrych włoskich trunków, ale nie mógł się pozbyć zawodowego nawyku ciągłego liczenia. Gdy przeliczał roczny koszt spożycia takiego napoju na cenę domu, czy placu w Płocku lub Warszawie, to bladł, podobnie jak to miało miejsce kiedyś w Krakowie. Szczęśliwie tym razem, gdy biskup Noskowski dowiedział się o postępie robót, to polecił podstaroście, aby podczaszy przynosił mistrzowi Janowi tyle wina z dworskiej piwniczki, ile tylko ten sobie zażyczy. Inna sprawa, iż biskup wiedział, że kulturalny, a przy tym niedomagający na zdrowiu Jan, nigdy wspaniałomyślności biskupa nie nadużyje. Tak czy owak, to miło spędzili z Ambrosio wczorajszy wieczór, wspominając przy winie minione lata.

Jan wstał, słysząc za pięknym, oprawionym w ołów oknem jakieś hałasy. Jedną z rzeczy, jaka zaskoczyła go w tej ponoć skutej lodem krainie, były nieżnośne letnie upały, które w tym roku nastąpiły już z początkiem czerwca. Na szczęście był jeszcze ranek, a od Bugu, wiał orzeźwiający wiaterek. Podszedł do uchylonego okna i odszukał źródło tumultu – no tak, rejwach podnosił oczywiście Ambrosio. Pomimo że teraz zwany był z polska Ambrożym, to nie stracił swego włoskiego temperamentu i zazwyczaj zachowywał się hałaśliwie, z werwą przy tym gestykulując. Gorzej, że włoskie zwyczaje przejęli także współpracownicy Ambrożego, toteż toczona przez nich dysputa, budziła zapewne zmarłych na nieodległym przykościelnym cmentarzu. Ambroży, podlaski mistrz ciesielski Wojciech, pochodzący z Warszawy mistrz murarski Maciej oraz przybyły z Prus, biegły we wznoszeniu sklepień Georg, towarzyszyli transportowi cegieł, który zmierzał ku nowemu centrum miasta.

Włosko-polska mieszanka językowa Ambrożego, niemiecko-polska gwara Georga oraz zawierający liczne ruskie wtrącenia dialekt Wojciecha – wszystko to sprawiało, że pastuszkowie, którzy przysłuchiwali się ich utarczce z pobliskiej łączki, łapali się za brzuchy i pokładali ze śmiechu. Jakimś cudem

cała ta czwórka doskonale się rozumiała, a mury świątyni dotąd nie runęły. Wszyscy byli doskonałymi fachowcami, więc na placu budowy, nie potrzebowali słów, aby wiedzieć, co robić.

Kilkunastoletni, klepiący biedę Ambrosio opuścił Włochy jako jeden z tysięcy bosonogich piechurów. W znacznie mniej komfortowych warunkach przebył trasę podobną do tej Jana, tyle że z Brna ruszył na północ ku Wrocławowi. Tam zdaniem podobnych mu wędrowców miał zdobyć z łatwością dobrze płatną pracę. Na miejscu okazało się, że zbyt wielu jego rodaków miało równie dobrze poinformowanych znajomych. Głodny i bez grosza usłyszał od sługi zmierzających do Krakowa kupców norymberskich, że tam dokąd podążali, buduje się tak dużo, że wciąż brakuje fachowych rąk do pracy. Ambrosio zaoferował, że gdyby kupcy zabrali go ze sobą, to w zamian za kilka kromek chleba dziennie, będzie im świadczyć wszelkie posługi. Tak dotarł do Krakowa, gdzie nie znając nikogo, zaczynał od wykonywania najcięższych prac, za marne stawki. Wkrótce dotarł do niego niejaki Giordano, oferując niezłą, stałą pracę, oraz opiekę miejscowego capo di familia. Capo ustalał zasięg i wpływy włoskich grup budowlanych działających na jego terenie. Ambrosio bez namysłu przystał na proponowane warunki, zwłaszcza że osobnicy podobni krakowskiemu capo, byli czymś powszechnym we Włoszech. Natychmiast otrzymał pracę z pensją czterech florenów na miesiąc, z czego prawie pół florena musiał oddawać „opiekunowi”. Jedną z zalet podobnego systemu był fakt, że capo zapewniali swym „podopiecznym” tani, bezpieczny i szybki system przesyłu pieniędzy do Italii.

W tym momencie Jan zauważył, że jego myśli kierują się ku nieprzyjemnym rejonom. Capo ostrożnie podchodzili do członków ekip pracujących bezpośrednio dla królewskiego dworu. W Krakowie Jan pracował właśnie w takim zespole, zwanym familią mistrza Berrecciego. Zespół Bartolomeo Berrecciego wznosił w katedrze wawelskiej, kaplicę nagrobną króla Zygmunta Starego. Bezpośrednim przełożonym Jana był wówczas Bernardino Zanobi de Gianotis. Jan także otrzymał ofertę „opieki”. W zasadzie to mógł zdobyć się na odwagę i odmówić, lecz przystał na ofertę, gdy usłyszał od „agenta ubezpieczeniowego”, że: „niefortunne wypadki chodzą po ludziach”. Faktycznie chodziły, ale dla Jana tamta decyzja była wstydliwym przejawem słabości i nigdy nikomu o tych wydarzeniach nie wspominał.

Chcąc wyprzeć te niemile echa przeszłości i zająć myśli czymś innym, spojrzął na dalekie zabudowania Morzyczyna. Był tam kilka razy, aby wybrać

drzewo potrzebne na budowę. Nie było to łatwe, jako że Mazowsze było wielkim placem budowy. Cóż z tego, że wokół Broku pełno było lasów, gdy, na co piękniejszych drzewach wszędzie widniały znaki obwieszczające, że drzewo jest już zamówione i zaliczkowane. Dotyczyło to także tych, które potrzebowały jeszcze trzech, a nawet czterech lat, aby osiągnąć rozmiary idealnej krokwi dachowej, czy doskonałego masztu okrętowego. Brakowało nawet drewna zdatnego na konstrukcje solidnych rusztowań. Polscy cieśle znaleźli właściwe dopiero gdzieś za Sadownem. Podstawą całego rusztowania musiały być wyjątkowo wytrzymałe, ciężkie belki, które wystawały ze specjalnie pozostawionych w murach otworów. W poprzek belek kładziono mocne pale i plecionki, a wszystko łączono systemem lin. Tym sprytnym sposobem rusztowanie nie było oparte o ziemię, lecz wędrowało w górę wraz z postępem robót. Umiejętność budowy stabilnych rusztowań była wielką sztuką.

Po Bugu ciągnął wręcz nieprzerwany sznur tratw, komięg, komiąsek i skut. W porcie panowała zwykła poranna gorączka. Przed zbliżającymi się żniwami opróżniano spichrze i wyprawiano w podróż ostatnie partie biskupiego zboża. Zboże na swoje jednostki ładowało także kilku znanych Janowi z widzenia brokowskich mieszczan i szlachciców z okolic Ostrowi. Do portu śpieszyli przybyli z daleka, zaspani kupcy i żeglarze, którzy zatrzymali się w mieście na noc. Jan lubił patrzeć na ten ożywiony ruch w porcie. Z pewnością Brok to nie Genua, czy Wenecja, ale Włosi to naród morski, więc i Jana dobrze nastrajał ten niemalże marynistyczny obrazek.

Boom budowlany sprawił, że trudno było o fachowców, a z powodu ich żądań płacowych i wzrastających cen materiałów budowlanych nie sposób było ułożyć dłuższego planu finansowego. Majstrowie pielgrzymowali po budowach, podkradając sobie co bystrzejszych pracowników. Jan szczególnie bał się o polskich murarzy, jako że wciąż brakowało na Mazowszu tych, którzy potrafili wznosić wysokie konstrukcje. Jan wiedział, że i ci tutaj, których wykształcił pod swoim kierunkiem, wkrótce odejdą, aby samodzielnie projektować i wznosić kamienice, kościoły i zamki. Pogodził się z tym nieuchronnym faktem, a wręcz napawało go dumą, że jego uczniowie z lepszym lub gorszym efektem naśladowali jego styl. Jakiś laik, a nawet i profesjonalista, który nie przyjrzał się bliżej kościołom wznoszonym w Chruślinie czy Ciekusynie, mógłby je uznać za dzieło Jana Baptisty.

Mniejszy był kłopot z uzdolnionymi cieślami. Na szczęście, bo biegły w fachu cieśla odgrywa na każdej budowie rolę złotej rączki do wszystkiego. Tak

błyskotliwych, jak tutejsi trudno byłoby znaleźć i we Włoszech. Niemniej musiał Jan nieco popracować nad zmianą ich nawyków. Od dziada pradziada przyzwyczajeni byli do pracy „na oko”. Długo i cierpliwie musiał im tłumaczyć, że w przypadku wysokich konstrukcji, nawet drobne niedokładności ulegają z czasem zwielokrotnieniu i prowadzą do katastrofy. Oczywiście mniejsze budowle wznosili po mistrzowsku, obywając się bez jakichkolwiek pomiarów. Modrzewiowy dwór, w którego oknie stał teraz, był tego kunsztu dowodem. Długo nie mógł przywyknąć do spania w drewnianym domu, w którego kominku wesoło buchał ogień. Początkowo często nawiedzały go senne koszmary, w których ginął w pożodze takiego domu. W pewnym momencie przekonał sam siebie, że ogromna większość murowanych budynków i tak ma przecież drewniane stropy i dachy, równie łatwopalne co drewniane ściany. Śmierć pod walącymi się płonącymi stropami domu murowanego była równie okrutna, jak ta poniesiona w gorejącym domu całkowicie drewnianym. Od tamtej pory spał już w mazowieckich dworach spokojniej. Z przyzwyczajenia wychylił się jednak z okna, rozejrzał wokół i ocenił, że miejsce to byłoby idealne na zbudowanie murowanego zamku, czy pałacu – oczywiście ceglanego, bo przecież kamienia, było wokół jak na lekarstwo. Wszystkie większe głazy, które w okolicy znaleziono i zdołano przetransportować na miejsce budowy, utopiono w fundamentach wznoszonego kościoła.

Na Mazowszu wszelkie nowinki w sztuce budowlanej przyjmowały się z opóźnieniem. Być może potomni będą kiedyś postrzegać Jana jako architekta i budowniczego nie nazbyt wysokich lotów. Cóż jednak ma począć. Buduje tak, jak tego pragną inwestorzy, a dla tych wciąż niedościgłym wzorem solidności są krzyżackie, gotyckie budowle. Mazurzy wierzą, że tylko grube ściany gwarantują trwanie budynku przez wieki. Na nic zdają się wielogodzinne przekonywania, że wytrzymałość i stabilność budowli można uzyskać innymi metodami. Marzeniem Jana jest wzniesienie czegoś smukłego, strzelistego, zgodnego z najnowszymi architektonicznymi trendami, ale choć człowiekiem jest majątnym, to przecież nie jest w stanie wystawić czegoś takiego własnym sumptem. Trzyma się więc stylu wypracowanego jeszcze w pierwszych latach pracy na Mazowszu. Cegły każe układać w dawno przebrzmiałym wątku wendyjskim, mimo że nawet polscy murarze namawiają go na zastosowanie czegoś nowocześniejszego. Jest już za stary, by cokolwiek zmieniać. Zresztą ten sposób układania cegieł jest niczym jego własnoręczny podpis na budowli – to dzieło rąk moich Jana Baptisty Wenecjanina. Widząc jego budowle, bywali w świecie architekci sarkają wprawdzie, że to styl z duchem czasu niezgodny, ale

innowatorów obieżyświatów zagląda w odległe rejony Mazowsza niewielu. Jan pociesza się też myślą, iż za lat jakieś pięćset mieszkańcy będą dumni, że mają kościół wyglądający na lat siedemset. Oczywiście istniało pewne niebezpieczeństwo, że potomni będą przekonani, iż kościół na przykład brokowski jest dziełem nie jego, ale krzyżackim.

Niechętnie Jan przyznaje, że raz jeden, aż nadto uległ sugestiom inwestora. Jan Brochowski, dziedzic dóbr brochowskich był tak przekonujący, że architekt zgodził się wznieść w Brochowie istne kuriozum – skrzyżowanie zamku warownego z kościołem. Nie ma co ukrywać, że i wyjątkowo zasobna sakiewka dziedzica odegrała tu pewną rolę. Już jednak cztery lata minęły, jak Brochowski dokonał swego żywota, a prace przerwano. Wdowa Katarzyna wciąż nie była zdecydowana, czy dzieło męża kontynuować. Gdzieś w głębi serca miał Jan Baptysta nadzieję, że wdowa budowy zaniecha. Nie był pewien, czy chciałby, aby obiekt tak ekscentryczny zaliczano do jego dorobku.

Nie wiedzieć czemu, podczas gdy patrząc na stawiane kościoły z zewnątrz, proboszczowie wciąż narzekali, że mury są za wiotkie i runą lada moment, to we wnętrzu tracili przekonanie, o nieuchronności upadku cegieł na ich głowy pobożne. Być może tutaj umysł ich miast czarnowidztwem, bardziej był zajęty wizjami pięknych ołtarzy, polichromii, rzeźb zdobiących kościoł. Jan fakt ten wykorzystał i postanowił przynajmniej we wnętrzach zastosować więcej z tego, co pamiętał z Włoch, podpatrzył w Krakowie, zasłyszał od hołdujących nowoczesności architektów i obejrzał w niderlandzkich albumach. Nad całą długością świątyń wznosił długie, dzielone na równe pola, kolebkowe sklepienia. Umieszczone wzdłuż ścian, powiązane arkadami półfilary wzmacniały całość konstrukcji i pozwalały na wykonanie większych okien. Całość wieńczyły wspaniałe polichromie. To wszystko sprawiało, że ktoś, kto zasugerował się tylko zewnętrznym obrazem budowli, w momencie przekroczenia jej progu odbywał podróż w czasie. Wnętrze miast posępnością i mrokiem szokowało przestronnością i światłem.

Z przylegającej do izby komory dobiegł chrzęst metalowych przedmiotów. To Ambrosio, czy już raczej Ambroży, przybył z pomocnikami po jeden z największych skarbów architekta i muratora – przymiary i pion. W sytuacji, gdy nawet w różnych dzielnicach tego samego miasta, co innego rozumiano przez identyczną z nazwy jednostkę miary, posiadanie przymiarów było niezbędne. Muratora nie interesowała różnica pomiędzy łokciem czy prętem warszawskim lub pułuskim – on miał swój przymiar. Długość,

szerokość, wysokość, czy grubość każdego elementu od pojedynczego filaru, aż po cały budynek wynosiła określoną ilość przymiarów. W ten sposób wszystko stawało się logiczne, proste, proporcjonalne, powtarzalne i na swój sposób piękne.

Powtarzalność detali architektonicznych sprawiała, że i zimę można było wykorzystać do pracy. W szopach przy cegielni przygotowywano gotowe elementy. Na przykład wyrabiano cegły na łuki i arkady. Odpowiednio uformowane lub przycięte w kliny cegły układano na drewnianym wzorcu łuku. Idealne dopasowanie oznaczało, że nawet bez zaprawy, po usunięciu wzorca, całość powinna zawisnąć w powietrzu. Osobom postronnym wręcz się zdawało, że są świadkami czarów. Na wiosnę wszystko przewożono na plac budowy i łączono niczym klocki. Prostota i powtarzalność wznoszonych konstrukcji pozwoliła Janowi przyjąć zlecenie Pawła Głogowskiego na szybkie wystawienie w Głogowcu kościoła „mocnego i pięknego”. Równoległe z tym w Broku budował więc w Głogowcu, jeśli pominąć detale, to nieco tylko pomniejszoną kopię kościoła brokowskiego.

Rozważania o przymiarach i pionach przypomniały, że za chwilę będzie musiał ruszyć na plac budowy. Będzie to dzień spędzony na pomiarach. Na co dzień wykonywali je Ambrosio i inni mistrzowie, ale to w końcu Jan odpowiadał za całość, a wiedział, że nie ma nic kosztowniejszego od w porę niewykrytego i nieusuniętego błędu.

Jan lubił to miasto, ale był już nieco znużony budową tutejszego kościoła. Był już początek czerwca roku 1658, więc gdyby wszystko przebiegało zgodnie z pierwotnym zamierzeniem, to nowy kościół powinien stać tutaj od lat około dziesięciu. To przecież biskup Samuel Maciejowski zdecydował w roku 1542 o budowie nowego kościoła w Broku. Jan sporządza tyle planów i prowadzi tak wiele budów, że już nie pamięta, czemu prace wówczas nie ruszyły. Może przyczyną były zbyt częste zmiany na stanowisku biskupa płockiego. Fotel biskupa był wielkim zaszczytem, ale dla wielu stanowił tylko etap na drodze do pierwszego krzesła w senacie Rzeczypospolitej, a tym było krzesło prymasa. Biskup Maciejowski sprawował swoje rządy przez lat pięć, jego zaś poprzednik biskup Jan Buczacki przez zaledwie trzy. Przed Buczackim był Piotr Gamrat, który zabawił w Płocku nie lata, ale miesiące. Wcześniej przez dwa lata ordynariuszem diecezji płockiej był Jan Chojeński. Każdorazowo nim nowy biskup zorientował się w sprawach diecezji i podjął stosowne decyzje, mijał dłuższy czas. Oczywiście bywały i inne przyczyny: skarbiec inwestora nagle

zaczynał świecić pustkami, albo środki musiano przeznaczyć na inne, pilniejsze potrzeby; brakło materiałów, a czasami i sam budowniczy przeciągał budowę z sobie tylko znanych powodów.

Dopiero terazniejszy biskup Andrzej Noskowski zapewnił stabilność administracyjną, a co najważniejsze finansową. Doceniając ekonomiczne talenty biskupa Noskowskiego, król Zygmunt August uczynił go nawet jednym ze swych bankierów.

Wszystkich wymienionych biskupów Jan Baptysta poznał osobiście. Po zakończeniu prac przy Kaplicy Zygmuntowskiej, Bernardino Zanobi de Gianotis postanowił opuścić zespół Berrecciego i pracować na własny rachunek. We wrześniu 1531 zawarł z ówczesnym biskupem plockim Andrzejem Krzyckim, wstępny kontrakt na budowę w Płocku katedry. Pod kontraktem finalnym Bernardino podpisał się wraz ze swymi współnikami Janem Cinim i Filipem z Fiesole. Wykonanie od fundamentów olbrzymiej świątyni wymagało udziału setek fachowców. Jan otrzymał od Bernardino propozycję pracy w Płocku. Bernardino prosił także, aby Jan spytał o chęć wyjazdu jednego lub kilku znanych sobie, sprawdzonych czeladników. W puszczech na północy w ogóle już ponoć nie słyszano o oliwie i winie, a w Krakowie mógł Jan wieść życie niczym w Italii, tyle że z całkiem zasobną sakiewką i na poziomie, o jakim w ojczystym kraju nie marzył. W Krakowie, jako metropolii pełnej specjalistów z całej Europy, coraz trudniej było jednak o awans zawodowy, a położony gdzieś u granic Skandynawii Płock, mógł być szansą na karierę. Bernardino oferował ponadto atrakcyjne warunki finansowe, a co nie mniej ważne, gdzieś tam pod koło polarne nie sięgały ponoć macki capo di familia. Decyzja zapadła szybko, a do Płocka Jan przybył wraz z Ambrożym.

Prace nad katedrą plocką trwały od wiosny 1532 r. przez około trzy lata. Jeszcze przed ich zakończeniem Bernardino i pozostali współnicy podpisali w Wilnie kontrakt, na odbudowę tamtejszej katedry zgorzałej w roku 1530. Również i tym razem Jan otrzymał ofertę pracy w nowym miejscu. Dał sobie nieco więcej czasu do namysłu i po kilku nieprzespanych nocach doszedł do wniosku, że tym razem szansą mogło być – pozostanie na miejscu. Po wyjeździe swych szefów nie miał w Płocku konkurencji. Do pozostania namówił także Ambrożego.

Przez jakiś czas Jan dostawał pomniejszych zleceń, by wreszcie w roku 1540 podpisać kontrakt na przebudowę kościoła św. Bartłomieja w Płocku. Coraz mniej go łączyło z Italią. Zdecydował, że nad Wisłą pozostanie, jeśli nie na

zawsze, to przynajmniej na długo. W międzyczasie ożenił się, kupił dom w Płocku, a w roku 1538 został obywatelem tego miasta.

Przebudowę płockiego kościoła pilnie śledził opat czerwiński, który tradycyjnie był także kanonikiem katedry płockiej. Tak się złożyło, że w trakcie prac w Płocku spłonął w Warszawie kościół św. Jerzego, który wprowadzie niebezpiecznie, ale podlegał właśnie opactwu czerwińskiemu. Widocznie opatowi płockie dzieło Jana przypadło do gustu, gdyż zlecił mu odbudowę spalonego kościoła. Kościół warszawski Jan wzniósł okazały, choć cmentarz wokół tej świątyni nie należał do prestiżowych ostatecznych adresów. Chowano tam samobójców i złoczyńców straconych przez kata. Dzięki wykazywanej solidności i pracowitości, inwestorzy zaczęli sobie Jana wzajemnie polecać i tą drogą nadeszło zlecenie na budowę warszawskiego Barbakanu. Odwiedzającego Warszawę Jana Brochowskiego, zachwycił zarówno przebudowany kościół, jak i Barbakan, wpadł więc na genialny pomysł połączenia dwóch funkcji w jednej budowli wystawionej w Brochowie.

Myśli biskupa Noskowskiego najwidoczniej nie zaprzętały wizje pierwszego krzesła w senacie, toteż większość swego czasu poświęcał sprawom diecezji i rozpoczął intensywne prace budowlane. Wybudowana przez Bernardino i spółkę świątynia, nie przypadła płockim kanonikom specjalnie do gustu. Bolało ich, szczególnie że ich katedra, jako jedyna w Polsce, pozbawiona była wież. W 1556 r. biskup Noskowski zlecił więc Janowi Baptyście przebudowę świątyni. Stanowiło to poniekąd oficjalne uznanie Jana za architekta biskupów płockich. Okazanie takiego zaufania oznaczało oczywiście kolejne kontrakty. Biskup wznowił też prace nad kościołem w Broku.

W tym momencie Jan uświadomił sobie, że jest już późno, a on jeszcze nic nie zrobił, jeśli nie liczyć snucia bezowocnych wspomnień. To wyjątkowo próżniacki początek dnia, jak na kogoś, kto jednocześnie przebudowuje katedrę w Płocku, wznosi kościoły w Broku i Głogowcu, a po zakończeniu prac nad pułtuską kaplicą grobową biskupa Noskowskiego, podjął się przebudowy tamtejszej kolegiaty. Przedwczoraj obiecał sobie, że w Broku rzuci też wreszcie okiem na rachunki dotyczące dwóch domów, jakie posiadał przy płockim rynku. Miał też przejrzeć skrypty dłużne, gdyż para się przecież udzielaniem pożyczek. Jeżeli się nie ogarnie, to nie zapanuje nad rosnącym stosem dokumentów i zacznie tracić pieniądze. Jakby tego było mało, to jako rajcy płockiemu wciśnięto mu do przejrzania jakieś akta. Jak ognia boi się wprowadzie dnia, gdy obudzi się i nie będzie musiał pilnie czymś się zająć i dokądś jechać, ale podjął

się stanowczo zbyt wielu zadań. Z rajcostwa musi zrezygnować, bo wprawdzie splendor to znaczny, ale wymiernych profitów praktycznie nie przynosi.

Szybko się obmył, odział i opuścił izbę. Przed dworem czekał pacholek z osiodłanym koniem. Zdecydował się pójść pieszo. Nawet ślepiec trafiłby na miejsce budowy. Już z daleka słyhać było odgłosy młota uderzającego o kowadło. Kował prawie bez ustanku naprawiał narzędzia zużyte i wyrabiał nowe. W nielicznych chwilach wolnych od powyższych zajęć kuł żelazne detale wznoszonego kościoła. Na drodze panował ożywiony ruch, a wszyscy napotkani ludzie witali go w sposób należny jego pozycji. Któż by pomyślał, że biedny chłopak z Lombardii osiągnie tak wiele. Nie myślał już o powrocie do Włoch, choć często ubolewał, że tutejsza odmienność w traktowaniu i pojmowaniu szlachectwa, okazywała się barierą nie do pokonania i człowieka o jego talencie, kwalifikacjach i zamożności, skazywała go na funkcjonowanie w drugim szeregu. Być może mógłby we Włoszech sięgnąć wyżej, ale tamtejsze niekończące się konflikty polityczne i wojny domowe, zmuszały do ciągłego opowiadania się po jednej ze stron sporów. To wcześniej, czy później kończyło się tragicznie. Nad Wisłą mógł żyć dostatnio i spokojnie, a obserwując, co dzieje się w Rzeczypospolitej, oceniał, że obce wojska nie wedrą się do serca tego kraju – nawet i przez sto lat.

Pogrążony w myślach nie zauważył, gdy doszedł do placu budowy brokowskiego kościoła. W jednej chwili zapomniał o wszelkich troskach, duchach przeszłości i przyszłości. Kochał ten gorączkowy, z pozoru chaotyczny, a w rzeczywistości uporządkowany ruch. Był w swoim żywiole. Przystanął na chwilę, napawając się widokiem. Tak czuje się zapewne zegarmistrz, obserwując ruch elementów werku precyzyjnego zegara. Szczęśliwy, postąpił jeszcze krok i stał się częścią tej doskonałej maszyny.

EPILOG

Brokowska świątynia została konsekrowana w roku 1560. Jeszcze w roku 1563 mistrz Jan pobierał wynagrodzenie za prace wykonane przy płockiej katedrze. W tym samym roku za niebagatelną kwotę 500 florenów nabył dom z ogrodem w Płocku. Później Jan Baptysta Wenecjanin figuruje jeszcze w pewnych rachunkach z roku 1571. Na nich urywają się informacje.¹

¹ Robert M. Kunkel, *Jan Baptysta Wenecjanin. Budowniczy i obywatel płocki...* s. 28, 29

Wymieniony w opowieści signor Ambrosio, to postać prawdziwa. Pracował pod kierunkiem Jana Baptysty i nie jest wykluczone, że dotyczyło to także kościoła w Broku. W roku 1577 już jako Ambroży nabył dom w Płocku po nieboszczyku Bieniaszu. Spolszczył się całkowicie i pojął za żonę Polkę. Po śmierci pierwszej żony ożenił się powtórnie ze szlachcianką, panną Elżbietą Kroczewską. W kwietniu roku 1583 kanonik Paweł Dębski zawarł z mieszczaninem płockim Ambrożym Włochem kontrakt na budowę kościoła w Pabianicach.²

Kościół w Chruślinie i Ciekusynie są zdaniem większości historyków sztuki dziełem nieznanego, rodzimego naśladowcy Jana Baptysty Wenecjanina.

Zorganizowana włoska przestępczość działała na terenie ówczesnej Polski. Zdaniem Karola Estreichera sam mistrz Berrecci został zasztyletowany przed jedną ze swych siedmiu krakowskich kamienic w wyniku walk o wpływy i duże pieniądze.³ Do podobnych wypadków dochodziło dość często wśród mieszkających w Polsce Włochów. W roku 1570 zginął w bójkę niejaki Jan Baptysta, pracujący przy Zamku Królewskim w Warszawie. „Nasz” Jan Baptysta figuruje jednak w wystawionych o rok później rachunkach, a jest też wielce wątpliwe, aby zamożny, stateczny, około 70-letni płocki obywatel szukał podobnych przygód w Warszawie.⁴

Z rozlicznych relacji wynika, że zazwyczaj Włosi dobrze czuli się w Polsce. W końcu XVI w. najprawdopodobniej na zamówienie angielskiej królowej Elżbiety I powstał raport *Relation of the State of Polonia and the United Provinces of that Crown Anno 1598*. Już na początku tego dzieła autor napisał o Polakach, jako o w porównaniu z innymi narodami: przyjaznych, uprzejmych i ceniących rozkosze stołu, bystrych, tolerancyjnych oraz nieprzywiązujących nadmiernej uwagi do spraw materialnych. Te właśnie, tak przecież bliskie Włochom cechy, miały podług angielskiego autora, skłonić znaczną ich liczbę do przybycia do Polski i osiedlenia się tutaj na stałe.⁵

Przy tworzeniu opowieści oparłem się na wymienionych poniżej pracach. Tam, gdzie autorzy spierali się o przebieg zdarzeń, arbitralnie wybrałem wersję najbardziej moim zdaniem prawdopodobną. Gdy faktów zbrakło, puszczałem wodze własnej wyobraźni.

² Tomasz Ogończyk, *Ambroży Włoch. Mularz płocki w XVI wieku*, „Głos Mazowiecki”, 1934, nr 109

³ Karol Estreicher, *Szkice o Berreccim*, „Rocznik Krakowski”, 1972, t. 43, s. 115-121

⁴ Robert M. Kunkel, *Jan Baptysta Wenecjanin. Budowniczy i obywatel płocki...* s. 29

⁵ *Relation of the State of Polonia and the United Provinces of that Crown Anno 1598...* k. 1

BIBLIOGRAFIA:

- Chruścicki Juliusz A., *Kamieniarze i mafiosi. Zarobkowa emigracja z Włoch do Europy Środkowej i Wschodniej (XV-XVIII w.)*, „Przegląd Humanistyczny”, 1996, t. XL/1, s. 69-85
- Dzieje Płocka. Historia miasta do 1793 roku*, t. 1, praca zbiorowa pod red. Mariana Kallasa, Towarzystwo Naukowe Płockie, Płock 2000
- Estreicher Karol, *Szkice o Berreccim*, „Rocznik Krakowski”, 1972, t. 43, s. 115-121
- Grzybowski Michał Marian, *Mecenat biskupów płockich epoki renesansu*, „Studia Płockie”, 2007, t. 35, s. 229-240
- Kozakiewiczowa Helena, *Spółka architektoniczno-rzeźbiarska Bernardina de Gianotis i Jana Cini*, „Biuletyn Historii Sztuki”, 1959, t. XXIV, s. 151-174
- Kunkel Robert M., *Jan Baptysta Wenecjanin. Budowniczy i obywatel płocki*, „Biuletyn Historii Sztuki”, 1983, t. XLV/1, s. 25-48
- Łużyniecka Elżbieta, *W kręgu warsztatowym budowniczego Jana Baptysty z Wenecji*, „Architectus”, 2005, nr 1-2 (17-18), s. 11-20
- Ogończyk Tomasz, *Ambroży Włoch. Mularz płocki w XVI wieku*, „Głos Mazowiecki”, 1934, nr 109
- Quirini-Popławska Danuta, *Działalność Włochów w Polsce w I połowie XVI wieku na dworze królewskim, w dyplomacji i hierarchii kościelnej*, Zakład Naukowy im. Ossolińskich, Wrocław 1973
- Relation of the State of Polonia and the United Provinces of that Crown Anno 1598*, t. XIII Res Polonicae ex Archivo Musei Britannici, Institutum Historicum Polonicum Romae, Rzym 1965
- Saładaj Sławomir, *Signor Ambrosio*, na stronie: um.pabianice.pl [dostęp 24.11.2019]
- Tygielski Wojciech, *Włosi w Polsce XVI-XVII wieku. Utracona szansa na modernizację*, Biblioteka Więzi, Warszawa 2005

ILUSTRACJA WYRÓŻNIAJĄCA ARTYKUŁ:

Ilustracja pochodzi z Biblii sporządzonej u schyłku wieku XIV dla króla Czech Wacława IV Luksemburczyka. Manuskrypt znajduje się w zbiorach Austriackiej Biblioteki Narodowej w Wiedniu. Pozyskano dzięki Wikimedia Commons. File:Wenzelsbibel1.jpg. Autor anonimowy. Domena publiczna.